

Krzysztof Myśliński



30 DNI
DO METY

dla•czemu

Krzysztof Myśliński

30 DNI
DO METY

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu
www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Opieka wydawnicza: Marta Burzyńska

Redakcja: Ewa Hoffmann-Skibińska

Korekta językowa: Alicja Gajda

Projekt okładki: Katarzyna Brzyska

Łamanie i skład: Szymon Bolek

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-03-1

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

kontakt@dlaczemu.pl

Odważnym i naiwnym.

Człowiek jest uczniem, cierpienie jego nauczycielem.
Alfred de Musset

Bo żyć możesz tylko tym, za co zgodzisz się umrzeć.
Antoine de Saint-Exupéry, „Twierdza”

1 czerwca 2015 r.

Poniedziałek, 16.40

Jeszcze trochę i koniec. Jeszcze trochę i wracam z Wielkiego Gówna.

Już prawie mogę oddychać, krzyczeć, śmiać się, a nawet, kurwa, przeklinać. Jeszcze trochę, jeszcze kilkanaście minut i będę mógł skakać, biegać z sypialni do salonu i zrobić fikołka. Choć w to wątpię, bo bolą mnie nogi. Zresztą nie tylko nogi, ale to nieważne. Ważne, że będę mógł. Będę mógł wszystko. Będę mógł. Tak po prostu. Będę mógł i tyle.

A co mogę w Wielkim Gównie? Wszystko oprócz tego, czego nie mogę.

Czyli niewiele.

Teraz siedzę w moim gabinecie. MOIM gabinecie. MOJEJ nagrodzie po MOICH dwudziestu latach zapierdolu. Ale co z tego, skoro wystarczy, że zerknę na jasnoszare ściany i zaczynam się dusić, a rzygi podjeżdżają mi do gardła, wspinając się po żołądku jak po pierdolonej drabinie.

Wystarczy, że zerknę na ściany tego cholernego, niepotrzebnego świata miejsca. Miejsca, gdzie słońce zagląda niechętnie i tylko dlatego, że jakaś mała planeta pcha mu się przed oczy. Dokąd idą tylko ci, którzy nie mają nic do stracenia, a wszystko do zyskania – przynajmniej tak im

się wydaje. Gdzie nie pchają się nawet zwierzęta, mówiąc w jedynie sobie znanym języku:

– Tam nie idź. Tam zło.

Co to takiego? Więzienie na granicy nieba z ziemią, gdzie wampiry błagają o litość, a zbrodniecy drżą ze strachu przed nastolatkami? A może to już Piekło?

Nie, nie, w Wielkim Gównie nie jest tak, jak w Piekle.

Tutaj jest gorzej.

Rozsądni nie uwierzą, dociekliwi będą drażnić. A ja mam to w dupie. Bo tutaj naprawdę jest gorzej.

Tutaj, czyli w Londynie przy Oxford Street, w Shoeso. Pod tą skromną nazwą kryje się okazały budynek, w którego skład wchodzi: parter, trzy piętra, mnóstwo gabinetów i jeszcze więcej pracowników. Oprócz tego podziemny parking i lądowisko dla helikopterów na dachu. Czy to brzmi groźnie? Raczej nie. Czy kojarzy się ze złem? Też raczej nie. Bo co złego może dziać się przy Oxford Street, gdzie sklep stoi przy sklepie, a ludzie spacerują po czystych chodnikach, wyrzucając pieniądze w błoto?

Wiele. Może więcej niż wiele. Kurwa mać, na pewno więcej niż wiele.

Tutaj sprzedaje się odzież sportową.

To nie żart. To nie powód do śmiechu, nawet jeśli się uśmiechnęliście. Nawet jeżeli pomyśleliście: „O czym pisze ten idiota?!”. Ja wiem swoje. Wiedzą to również ci, którzy kiedykolwiek tu pracowali.

Czyli klienci nie mają tu nic do powiedzenia. Im jest fajnie, mogą oddychać bez pytania, śmiać się z durnych żartów, a nawet, kurwa, przeklinać. Nikt nie zabrania im spacerować między regałami, upuścić buta, podnieść, znowu upuścić i po nim poskakać. Tylko po to, by zobaczyć, jak go podnosisz.

Tacy są. Nic ich nie zmieni. Ale o nich już wystarczy.

Jeszcze piętnaście minut. Piętnaście minut i oficjalnie będę wolny.

Oficjalnie.

21.25

Mówił wam ktoś, że za wolność trzeba zapłacić? Pewnie tak. Na pewno słyszeliście też, że wolność zdobywa się latami, a walka potrafi być niesprawiedliwa.

Ale nikt nie mówił wam, że trzeba walczyć jak o niepodległość i płacić krwią przy zwyczajnym wyjściu z pracy.

Dzisiaj normalność trwała krótko, bo ledwo wysiadłem z windy, stanąłem na czerwonobrazowych płytkach (dokładnie wyczyszczonych i wypolerowanych, bez najmniejszego skrawka papierka po cukierku), wziąłem głęboki oddech sztucznie zapachnionego powietrza i...

I tutaj skończyła się normalność, pojawił się pierwszy problem – poczułem swędzenie w nosie. Zaczęło się delikatnie, zupełnie niewinnym sygnałem od nieznanymi mi komórek do mózgu, ale już po sekundzie wykrzywiłem twarz, przymykając powieki, a w myślach słyszałem głos: „A nie mówiłem? Znowu będziesz kichał! Ha! Będziesz kichał!”.

– Ekhe-ekhe, eh-eh. – Rozległ się huk, jakby ktoś strzelał z karabinu.

Ale to żaden karabin. To ja i kaszel, który męczy mnie od... od... Nie pamiętam nawet, od kiedy.

„Zajebiecie” – pomyślałem, gdy wszyscy na korytarzu zaczęli się na mnie gapić jak na objawienie. Wszyscy, czyli prawie trzydzieści osób, które właśnie skończyły pracę (kolejne trzydzieści skończy za dziesięć minut, żeby nie było przestojów). Nie mogłem wypaść z roli, więc na nienawistne

spojrzenia ludzi o niższej pozycji w firmowej hierarchii odpowiadałem uśmiechem. Powtarzałem w myślach: „Ja jestem Adam Walker – trzeci zastępca dyrektora do spraw marketingu. Oni – ktoś tamy, jakieś tamy – zwykli, szeregowi pracownicy. Ja jestem Adam Walker – trzeci zastępca dyrektora do spraw marketingu...”

Zrobiłem jeden, drugi, trzeci krok w stronę wyjścia dla personelu, czyli w stronę wolności. Przeszedłem obok sklepu, czyli jakichś siedmuset metrów kwadratowych, gdzie wystawiany był asortyment. Szedłem między pudłem, z którego wystawały koszulki oraz piłki tenisowe, myślałem byłem na miękkiej sofie w salonie i... Nagle usłyszałem piskliwy głos:

– Nie, nie tę. – Przerwa na pociągnięcie nosem. – Tak, tę drugą!

Obróciłem się w stronę źródła tego skrzeku. Zobaczyłem korytarz i srebrne drzwi. Drzwi do sklepu. Głos dochodził właśnie stamtąd. Ale dlaczego usłyszałem go tak wyraźnie? Przecież powinien zginąć w fali rozmów i rytmicznej muzyki z głośników.

Od wyjścia dzielił mnie krok, od sklepu również. Iść, pożegnać ból i przywitać sofę czy zostać i zmierzyć się z kolejnym wyzwaniem?

Rozum swoje, serce swoje, a ja swoje, więc ruszyłem tam, skąd dobiegał głos, spodziewając się ujrzeć, sądząc po tonie, przyszczatego wyrostka.

Otworzyłem drzwi, wszedłem do sklepu, strasząc przy tym starszą kobietę, która oglądała męskie T-shirty; minąłem regał z butami do gry w piłkę i zobaczyłem to, co zobaczyłem. Dość powiedzieć, że nie pomyliłem się wiele – przy jednej z dziesięciu kas (trzeciej od ściany po prawej stronie, jeśli was to interesuje) stał dzieciak.

Dałem mu maksymalnie dziewięć lat. Patrzył na czapkę z daszkiem w rękach kasjera tak, jak głodny wilk na sarnę. Żeby nie było, nie na normalną czapkę z daszkiem – takich się nie kupuje, więc takich u nas nie ma. Ta była wyjątkowa. Wielkimi, żółtymi literami napisane na niej było „Fuck You!”.

Głupie i bezsensowne? No kurwa mać, chyba nie inaczej! Ale prawda jest taka, że właśnie ta czapka, obok różowych spodenek, oddychających skarpetek i butów do biegania z białą podeszwą sprzedaje się najlepiej.

– Tak, chcę tę! – zakwiczał dzieciak.

Czterdzieści lat na karku, dwadzieścia w tym budynku i non stop słyszę to samo zdanie: „Ja chcę!”. Jak chcesz, to sobie kup, nie ma sprawy! Ale gdybyś wszedł i grzecznie powiedział „proszę”, to nic by ci się nie stało. A kasjer może by się uśmiechnął? Nie musiałby udawać, że nie ma cię głęboko w dupie.

Tym razem kasjer nie myślał o udawaniu. Chyba w ogóle nie myślał, bo tłumaczył się głupio:

– Przykro mi, ale nie mogę ci tego sprzedać. Twoja mama nie byłaby zadowolona. Takie czapki są dobre dla starszych. Musisz jeszcze trochę podrosnąć.

Noż kurwa mać, tego jeszcze nie grali!

Ale czy jako więcej niż doświadczony sprzedawca powinienem myśleć inaczej? W końcu gówniarz, który ledwo sięgał do sklepowej lady, przyszedł do Shoeso, chcąc zostawić tutaj ciężko zarobione pieniądze rodziców, a kasjer nie pozwalał mu kupić czapki!

Wszystko przez to, że kasjer, ktoś tam jakiś tam, pracował u nas od niedawna. Pamiętał jeszcze, czym jest sumienie, trudno mu zapomnieć o moralności. Pewnie na widok dzieciaka, który być może chciał wydać ostatni grosz samotnej matki, zadrżało mu serce.

Szczerze? Mnie nie zadrżało nic oprócz oczu, które domagały się słońca, wkurwione przez nadmiar sztucznego światła. A kasjer też w końcu przestanie tak myśleć, ale jeszcze chwilę to potrwa. Tylko że nie mogliśmy stracić młodego klienta.

Twoja kolej – przeszło mi przez myśl. Musiałem wkroczyć, zanim zrobiłoby się nieciekawie.

Poprawiłem krawat, przyglądałem marynarkę (jedną z tych, które kupiłem dwadzieścia lat temu pod groźbą zwolnienia, choć nie było mnie stać na świeży chleb), po czym ruszyłem prosto w stronę kasy i...

– Pik. Pik.

Kurwa mać.

Wszedłem do strefy „Wyłącznie dla personelu”, a ten cholerny czujnik przy bramce nie wyczuł mojego identyfikatora. „Dyrektorskiego” identyfikatora, czyli białego z czerwoną ramką – reszta, oprócz rady nadzorczej, nosi podobne, lecz z białą ramką. Poprawiłem go, patrząc na kamerki, które przeszywały mnie niewidzialnymi falami.

– Pik. Pik.

Powiedzieć, że się wkurwiłem, to jak nie powiedzieć nic. Bo czy ktoś kontroluje nasze zakupy?! Czy za każdym razem musimy kupić tanio, taniej, a najlepiej w ogóle dostać za darmo?! Na te cholerne czujniki przychodzi co najmniej dziesięć skarg dziennie, a nadal śmieją się z nas przez szare szkiełka. I jeszcze to cholerne „Pik. Pik”! Niby nudne i bezbarwne, a wkurwiające!

No ale co miałem zrobić? Ktoś tam jakiś tam wciąż tłumaczył dzieciakowi, że czapka nie jest dla niego, a on powoli przygotowywał się do ostatecznego ataku – twarz mu się czerwieniła, oczy pocierał dłońmi, jakby chciał przesunąć je w prawo.

Czas mnie gonił, więc szybko zdjąłem identyfikator – ktoś nadzwyczaj inteligentny zamontował czujnik na wysokości pasa, a przecież nie będę klękał przed kamerką – i przyłożyłem go do szarego szkiełka.

– Pik. Piiiiiiik.

Otworzyła się srebrna bramka, która – bardziej niż do bądź co bądź elitarnej korporacji – pasuje do osiedlowego basenu. Chociaż w tym szambie też można było popływać.

– No ale ja chcę! – wrzeszczał dzieciak.

Spokojnie, Adam, spokojnie – powtarzałem w myślach. Wiedziałem, że krzykiem nic nie zdziałam. Trzeba było ruszyć głową.

Wszedłem do środka, czyli na zaplecze sklepu. Bramka zamknęła się z trzaskiem, niebieska ścianka zadrżała. Ścianka, wysoka na mniej więcej metr, łączy wszystkie kasy i oficjalnie jest ich dodatkowym zabezpieczeniem. Nieoficjalnie zaś chroni oczy klienta przed syfem, który wala się pod nogami pracowników.

Schowałem identyfikator do kieszeni (nie chciałem później zdejmować go jeszcze raz) i przeszedłem za kasą, ślizgając się po foliach z resztkami czekolady. Kasjer przerwał pracę i pozdrowił mnie kiwnięciem głowy. Odpowiedziałem tym samym.

Przeszedłem za drugą kasą, omal nie potknąłem się o puste opakowanie po sushi. Kasjerka przerwała pracę i pozdrowiła mnie kiwnięciem głowy. Odpowiedziałem tym samym.

Przeszedłem za trzecią kasą, slalomem minąłem plastikowe butelki i puszki po coli. Kasjer pozdrowił mnie kiwnięciem głowy. Tym razem nie ruszyłem do kolejnej. Spojrzałem na jego identyfikator. Było na nim napisane: „Richard Robinson. Proszę o wyrozumiałość, dopiero się uczę”.

Na ogół nienawidzę ludzi – ma tak każdy, kto popracuje dłużej niż piętnaście lat w tym ohydny sektorze gospodarki, nazwanym dla zmyłki „usługi” – a już szczególnie nienawidzę kasjerów, którzy „dopiero się uczą”. Taki człowiek jest udręką dla współpracowników, pyta o każdą, nawet najprostszą rzecz, denerwuje też klientów, dziesiąty raz kasując ten sam produkt. Niby wiadomo, że musi się uczyć, ale lepiej, żeby uczył się w domu. Najlepiej zaś, żeby się nie uczył, a umiał.

– Jakiś problem? – spytałem uprzejmie, uśmiechając się. Przez długie lata piętnaście minut dziennie (codziennie!) uśmiechałem się do lustra, dlatego teraz potrafię szczerzyć zęby na zawołanie i robię to tak, że klient nawet się nie orientuje, co naprawdę myślę.

– Tak! Ten idiota nie chce mi sprzedać czapki!

Nagły przyływ złości zamaskowałem oddechem. Następnie wdech. I wydech. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Spokojnie. Przecież to tylko dzieciak.

– Bardzo przepraszam szanownego pana – zwróciłem się do tego bezczelnego gówniarza. – Rzecz jasna, dostanie pan tę czapkę.

– Ale... – wtrącił się nie mniej bezczelny Robinson.

– Nie ma żadnych „ale”. Proszę. – Skasowałem czapkę z żółtym napisem. – Dziewięć funtów dziewięćdziesiąt dziewięć pensów.

„Szanowny pan” stanął na palcach i wręczył mi dziesięciofuntowy banknot z wizerunkiem Elżbiety II i kogoś tam.

– Bardzo dziękuję. Nawiasem mówiąc, to świetny wybór! – pochwaliłem dzieciaka i wyszczerzyłem zęby. On wcisnął czapkę na głowę, przez co zaczął przypominać ściśniętego arbuza. Nie powiedział nic, ale przecież nie musiał.

– Do widzenia! – zawołałem, gdy się odwrócił. Do kasy podszedł kolejny klient, kobieta w podeszłym wieku (ta sama,

którą przestraszyłem!). Richard Robinson uśmiechnął się, przynajmniej w swoim mniemaniu, bo ja zobaczyłem grymas, jakby ktoś podstawił mu pod nos psią kupę. – Pani chwilkę poczeka.

Kobieta uniosła brwi, a ja mruknąłem do Richarda:

– Chodź za mną, musimy pogadać.

Z jego twarzy zniknął uśmiech, a pojawiło się przerażenie. Już wtedy wiedział, co go czeka. Zresztą nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, że przełożeni nie przerywają pracy, żeby przekazać dobrą wiadomość. Ten młodziak musiał się już o tym przekonać.

Nie chciałem besztać go przy klientach, ale nie zamierzałem raz jeszcze wjeżdżać na górę do gabinetu, więc po slalomie między butelkami i puszkami stanąłem pod ścianą, kilka kroków od kasy.

– Słuchaj no – zacząłem, gdy zatrzymał się obok mnie. – Wiem, że chciałeś dobrze dla tego dzieciaka. Wiem też, że mógł kupić inną czapkę.

– Właśnie, panie dyrektorze. Ja...

– Teraz ja mówię – niemal krzyknąłem, po czym znów ściszyłem głos. Tylko dlatego, że nazwał mnie dyrektorem. – Od dzisiaj, przychodząc tutaj, zostawiasz sumienie przed drzwiami. Jeżeli jakiś dzieciak będzie chciał kupić czapkę z napisem „Fuck My Parents!”, to mu ją sprzedasz, rozumiesz?

– Ale...

– Ostrzegam cię ostatni raz – syknąłem jak wąż. – Czy będziesz robił tak, jak powiedziałem?

– Tak, panie dyrektorze.

– Czy jeśli przyjdzie starsza kobieta i będzie chciała kupić koszulkę z napisem „Fuck My Grandma!” dla wnusia, to jej sprzedasz?

– Ja... bo... To znaczy: tak, panie dyrektorze. A jeżeli...

– Jeżeli człowiek bez nóg będzie chciał kupić buty do biegania, to mu je sprzedasz, kurwa jego mać!

Odwróciłem się, kończąc rozmowę. Jednak jeszcze nie wyszedłem przez bramkę. Czekałem, aż Richard wróci do kasy – nie chciałem, żeby tłumaczył się w stylu: „Szef właśnie kazał mi sprzedawać wszystko wszystkim”. Bo z nowymi nigdy nic nie wiadomo.

Pamiętam, że zastanowiłem się wtedy, czy idzie tak długo, bo chce mnie zezłościć, czy po prostu każda minuta w tym miejscu wydaje mi się godziną.

Wreszcie podszedł do kasy, a ja za nim. Klepnąłem go w ramię, by klienci widzieli, kto jest dobrym ojcem, a kto posłusznym synem.

– Bardzo przepraszamy za drobne opóźnienie. Nasz nowy pracownik, Richard Robinson, dopiero się uczy – wyjaśniłem z uśmiechem. – Jednak ręczę za niego, niedługo będzie prawdziwym ekspertem!

Starsza kobieta, która jako jedyna czekała przy pustej kasie, zaśmiała się sztucznie, czyli wydała z siebie dwa krótkie dźwięki (bardziej niż śmiech przypominały szczeknięcia psa), po czym zamilkła.

– Dobrze, to ja już państwa zostawię. Miłego dnia! – przewalałem niezręczną ciszę, kłaniając się. Ruszyłem w stronę bramek i ledwo uniknąłem złamania ręki (pamiętacie jeszcze syf ukryty za kasami?).

– Bardzo przepraszamy, ale Ethana Clarke’a dzisiaj nie ma – mówił sprzedawca najbliższej bramek, z plakietką „Olivier Evans”. – Jest na zwolnieniu lekarskim, ale powoli wraca do zdrowia...

„Tłumacz się, tłumacz” – pomyślałem z satysfakcją. Czas moich tłumaczeń właśnie dobiegł końca. Wyciągnąłem

identyfikator i przyłożyłem go do szarego szkielecka z nadzieją, że wreszcie uda się przejść za pierwszym razem...

– Pik. Pik.

Kurwa mać, chyba mamy zwycięzcę w plebiscycie na najgorszy czujnik roku.

– Pik. Piiiiiiik.

Chyba usłyszał.

Nie kontrolowałem tego, lecz mój wzrok skierował się w stronę zakupów kobiety. Przypomniały się demony z przeszłości, gdy każdą koszulkę musiałem skasować, buty zapakować, a przy wymagającym kliencie jeszcze pocałować rączki. Dla mnie był to odruch bezwarunkowy, jak oddychanie dla normalnego człowieka.

Patrzyłem i dopiero po chwili dotarło do mnie, co ona kupiła. Z początku niedowierzałem, później się zaśmiałem, lecz zażenowanie szybko przerwało śmiech.

Wnusio się ucieszy, tyle powiem.

22.20

Co słychać w Londynie o wpół do jedenastej, kiedy normalni ludzie kładą się spać?

– Wrrr-wrrr. Www-wrrr.

Nosz kurwa ja pierdołę. To niemożliwe. O siódmej wieczorem ten idiota z dołu robi remont, a u mnie szafki z lampą bujają się w rytmie disco.

– Wrrr-www. Www.

Praca w Shoeso nauczyła mnie, że nie ma rzecz niemożliwych. Za to są ludzie niemożliwie tępi i niemyślący. W dodatku, co warto podkreślić, nienauczalni – bohaterowie

zasady „psa mówić nie nauczysz”. Ten koleś z dołu, Reece James, się do nich zalicza.

– Wrrr-www. Www-wrrr. Wrrr-wrrr.

Człowiek wyjeżdża z domu o szóstej, pracuje dziesięć godzin i wraca, gdy jakiś idiota remontuje mieszkanie, w którym pewnie mieszka od urodzenia – odkąd ja tu mieszkam, a będzie to już z piętnaście lat, ani razu nie słyszałem, żeby u siebie odkurzał, a co dopiero wiercił!

Nie żebym się przysłuchiwał, za wywiad w naszym bloku odpowiada sąsiadka z czwartego piętra, pani Victoria Tracy. Ja tylko... uważnie obserwuję.

Staram się nie zwracać uwagi na ten cholerny dźwięk, który raz przybiera na intensywności, a raz cichnie, przyspiesza i zwalnia. Przecież czytałem, jak odcinać się od tego, czego nie chcesz i co ci przeszkadza. Swego czasu pochłonałem naprawdę dużo coachingowych książek, rzecz jasna nie po to, by odcinać się od niechcianych dźwięków, lecz w nadziei na poprawę tego, tamtego i tamtego dalszego również.

Chyba nie muszę pisać, ile mi to dało.

22.50

Zaczynam mieć wątpliwości, czy to, co przez grzeczność nazwę istotą żywą, wierci dziurę w suficie czy w mojej głowie. I czy wytrzymam do rana, nie wyciągając noża z kuchennej szuflady.